



Malta – megalityczne świątynie Ħaġar Qim (kompleks datowany na IV i III tysiąclecie p.n.e.). Fot. Izabella Sariusz-Skąpska.

Oswajanie Inności

*Laugh, oh strong of heart, at your enemy
Make fun of, weaken and attack the adversary.
despise him, crush him over the waters:
bring him down
over the sea, tie him, hang him*

Tekst z fenickiego papirusu, 500 p.n.e,
Muzeum Archeologiczne, La Valetta, Malta

Na maleńkim skrawku papirusu przetrwały słowa. Pierwszym odruchem zwiedzającego muzeum, gdzie przechowywany jest ten artefakt, może być wzruszenie – zachwyt nad cudownym trwaniem czegoś tak kruchego. Ale natychmiast pojawia się i zdumienie – gdy z angielskojęzycznej transkrypcji widz poznaje treść przesłania sprzed ponad dwóch i pół tysiąca lat. Z otchłani czasu, trudnej do objęcia wyobraźnią, biją mocne słowa: przekleństwa, nienawiści, odrzucenia. Nadawca „depeszy” sprzed wieków w nasyconych emocją zaklęciach życzy wrogowi tego, co najgorsze: mówi o poniżeniu i gwałcie, o pogardzie i chęci zadania mu cierpienia. Teraz zdumiony widz instynktownie odsuwa się od gablotki, bo czuje niesmak, jest zawiedziony, że tam, gdzie spodziewał się mądrości sprawdzonej przez próbę stuleci, widzi przekaz nienawiści, niemal taki sam, jakim codziennie zalewają nas współczesne media.

I wreszcie trzecia reakcja widza: próba zrozumienia. Jak to w życiu bywa, najważniejsze informacje są podane „małym druczkiem”, a znajdziemy je dopiero w lakonicznym podpisie pod eksponatem. Otóż kawałek papirusu przetrwał od czasów antyku, bo był bezpiecznie schowany w amulecie w kształcie boga Horusa. Amulet dopiero współcześnie odnaleziono w grobowcu, w starożytnym mieście Rabat, znanym z przekazów o św. Pawle, który tutaj podobno trafił, gdy w drodze do Rzymu rozbił się jego statek. Kiedy tysiące lat temu fenicyjcy kupcy dopływali na Maltę, to na łodziach z purpurowymi żaglami przywozili nie tylko towary, ale i swoje obyczaje, i swoją religię. Odcyfrowany tekst nie jest wezwaniem do zemsty na wrogu – to są słowa świętego przekleństwa, które dotknąć ma każdego, kto zakłóci spójność spoczywającego w grobie. Analogiczne teksty odnajdowano w egipskich nekropoliach, stąd posługując się tamtejszymi znaleziskami, można uzupełnić braki w maltańskiej, poszarpanej wersji. Ale to nie jest potrzebne – widzimy wystarczająco wiele i tam, gdzie pojawiają się kropki, czujemy jakby powstrzymany oddech, słowa rwą się, umykają, a my jednak na przekór wyciągamy rękę ku nadawcy.

Nie integralność tekstu jest tutaj ważna. Okazuje się, że to my jesteśmy adresatami starożytnego przekazu: wszak przez szybę gapimy się na coś, czego nigdy nie powinny oglądać ludzkie oczy. W cenie biletu wstępu kupiliśmy swoisty dostęp do współudziału w świętokradztwie, bo przecież oglądając artefakty wydobyte przez archeologów, zgadzamy się na dokonane przez nich naruszenie *sacrum* z odległej epoki. Wszak odbyło się to w majestacie nauki. Usprawiedliwiamy się: miniaturowy posążek starożytnego bóstwa jest dziś tylko eksponatem! Czy rzeczywiście? Czyżby poprzez wieki uleciała z niego świętość?

Oglądam na nowo fotografię papirusu. To oczywiście tylko pamiątka, dziś przypominająca mi kolory i aromaty Malty, tamtejsze świątynie megalityczne i te znacznie bliższe w czasie, monumentalne budowle La Valetty, imponującej siedziby zakonu joannitów, krzyżowców i utalentowanych szpitalników. Ale oglądając kopię niezrozumiałych liter z fenickiego amuletu, widzę przede wszystkim nieznanego nadawcę: z jaką pieczołowitością przygotowywał miejsce na pochówek bliskiej mu osoby, jak zadbał o szczegóły, przygotował piękny wizerunek

Horusa, wierząc, że figuryńka bezpiecznie przechowa święte słowa, a wdzięczny bóg zadba, że będą skuteczne. Wierzył, że zapisana na papirusie modlitwa przeprowadzi zmarłego w zaświaty, a ciało jego spocznie bezpiecznie, chronione przed świętokradcami. W ułamku sekundy wydaje mi się, jak dobrze rozumiem tego człowieka: wprawdzie żył w obrębie cywilizacji, której prawie nie znam, był wobec mnie daleki, Inny, ale to poczucie odmienności znika wobec potęgi jego wiary. To właśnie wiara okazała się silniejsza niż przemijanie.

A może tylko tak mi się zdaje? Czy rzeczywiście możliwe jest takie Spotkanie z Innym, podanie sobie ręki ponad czasem, porozumiewawcze spojrzenie, pełen szacunku ukłon skierowany w jego stronę, w stronę bardzo dalekiego (dawnego) Ty, z którym chcę dzielić żarliwe przekonanie, iż intymności wiary należy się szacunek, nawet tam, gdzie brakuje zrozumienia?

*

Odmiennosc i swojosc, innośc i to, co znane. Odwieczny dylemat, na który natykamy się w każdej epoce i kulturze. Pretekst do wybuchu wojen, w które wikłają się całe narody i oddalone od siebie kontynenty, ale i źródło indywidualnej rozpacz czy bezradności, kiedy dwóch/dwoje najbliższych ludzi odnajduje między sobą mur, którego pokonać nie sposób. Napięcie między Ja i Innym to sedno wielu rozpraw filozoficznych i przedmiot zadumy mędrców. Przekraczanie granicy między przyjaciółmi, co zmieniają się we wrogów, i między kochankami, co stają się nieprzyjaciółmi, to odwieczny, jakże świetny temat dla literatury, do napisania eposu albo farsy. Dumni z pochodzenia cywilizacji i otoczeni zdobyczymi postępami, ufni, że przyszłość jest nasza i zawsze świetlana, wierzący w mit globalizacji, naraz stajemy zdumieni wobec faktów najbardziej pierwotnych: wobec słów nienawiści i wobec poczucia obcości, wobec zagrożenia, które dostrzegamy w Innym.

Dwudziesty wiek totalitaryzmów przeliczył najgorsze prorocтва i przekroczył wiele barier, a na dodatek pozostawił otwartym pytanie, czy człowiek dopuścił się już wszystkich możliwych okrucieństw i bezceństw. Jeśli przyjmiemy, że wiek XXI już się rozpoczął – to nie był

to dobry początek. Jeśli znakiem otwarcia nowego stulecia i zarazem nowego tysiąclecia miały być dymy nad ruinami World Trade Center, a pierwszą emblematyczną datą „11 września”, to może oznaczać, że stojący obok i czekający na nas w przyszłości Drugi jest (będzie?) przede wszystkim Inny. A może być i tak, że Inny jest (będzie) przede wszystkim Obcy. Gdzie szukać wyobrażeń potencjalnego Spotkania i skąd czerpać nadzieję, że naprzeciw nie stanie wróg?

Moja ukochana literatura stara się znaleźć język, aby opisać Inność, i chce wierzyć, że te wysiłki podejmowane są przede wszystkim po to, aby Inność oswoić zanim stanie się Obcością, zanim przemieni się we Wrogość. Jak na razie, w wieku XXI, literatura radzi sobie z tematem Inności... dość słabo. Może w znalezieniu właściwego języka przeszkadza piszącym zgłębienie polityki i dramatyzm na co dzień dziejącej się historii? Ale cóż w tym nowego? Wszak Petroniuszowi w układaniu poematów nie przeszkodził obłąkany cesarz Neron, a Owidiusz pisał wbrew – a może nawet dzięki – wygnaniu... Pomysłem na literacki dyskurs, najważniejszym, odwiecznym, jest zrozumienie tego, co niezrozumiałe, opisanie tego, co niezwykle, wytłumaczenie tego, co nowe, inne, fascynujące. Słuchacze eposów Homera gromadzili się wokół recytujących i śpiewających aoidów, bo chcieli zrozumieć siebie i Innych. Cóż może być bardziej fascynującego od Innego?

*

Wytłumaczyć Niezrozumiałe. Otwieram książkę i znajduję motto: „Gdzieś w Afganistanie albo w innym miejscu”. Odtąd, prawie bez tchu, bez przerwy, czytam. Pamiętam, że kiedyś kupiłam książkę tego samego autora i już w drodze z księgarni przycupnęłam na ławce na Plantach, aby przez parę minut tylko „kontrolnie” przerzucić kilkadziesiąt kartek opowieści – i tak już zostałam, nie mogąc zaprzestać lektury. To była powieść *Ziemia i popioły*. Teraz, po raz któryś, oddaję się hipnotycznemu czytaniu książki zatytułowanej *Kamień cierpliwości*.

„Gdzieś w Afganistanie albo w innym miejscu”. Autorem jest Atiq Rahimi, Afgańczyk, uciekinier z jednej z afgańskich wojen. „Z jednej” –

bo przecież na przeciągu ostatnich blisko czterdziestu lat nazwę „Afganistan” odmieniamy przez wszystkie przypadki, niemal zawsze w kontekście teatru wojny. W tej powieści autor zaciera osobiste ślady, bo nie daty i nie realia historyczne są najważniejsze. Kto jest adresem tekstu? Każdy, kto zechce słuchać i postara się zrozumieć. Jednak już otwierające motto ostrzega czytelnika przed pochopnymi sądami, wszak prawdopodobnie wkracza na ziemię nieznaną.

Inność jest gdzieś – inne są kraje i całe kontynenty. Inny to mieszkawiec ziemi, co nie „nasza”: mówi niezrozumiałym językiem i lubi inną kuchnię. Wydaje się, że wyznaczenie granic swojości-inności to odruch, co przychodzi nam z łatwością. Czy rzeczywiście, aby wskazać Innego, wystarczy instynkt?

Jeśli Inność ma mnie – czytelnika, widza, słuchacza, podróżnika – zainteresować, to musi się postarać: zanęcić krajobrazem, przyciągnąć zapachem egzotycznych roślin czy aromatem przypraw, może przekupić jakąś oryginalną pamiątką przywiezioną z podróży i tak potwierdzi prawdziwość tysięcy zdjęć, przechowywanych na coraz nowszych i coraz doskonalszych nośnikach. Czymże więc uwiedzie czytelnika to wezwanie: „Gdzieś w Afganistanie albo w innym miejscu”?

Inność. Atiq Rahimi nie decyduje się na tworzenie folderu dla turystów. Pisze po francusku, ale adresat nie musi być Francuzem; pierwsze teksty, powstające już na wygnaniu (początkowo w Pakistanie, dopiero potem w Europie), pisane były po persku. Scena dramatu, na którą zaprasza się czytelnika z Zachodu, jest oszczędna: ograniczona do pokoju, zarysowanego w kilku kreskach i plamach koloru, gdzie za jedyne ozdoby służą powieszona na ścianie zdjęcie i handzar. Ten ostatni jest rekwizytem, jawnie kpiącym z klasycznej zasady dramaturgii Zachodu, zgodnie z którą jeśli w pierwszym akcie zawisnie na scenie strzelba, to niechybnie po to, aby w finale spektaklu – wypalić. Osoby dramatu Rahimiego pojawiają się tylko w jednym pokoju: wszystko, co poza nim, ogranicza się do odgłosów dobiegających spoza okna lub wpisane jest w monolog bohaterki. Przez większość tekstu bohaterów jest dwoje: nieprzytomny, prawdopodobnie umierający mężczyzna i pielęgnująca go kobieta. On i ona. On – milczący świadek

jej monologu. Idealny słuchacz. Kamień cierpliwości. Do wyjaśnienia, co oznacza to tytułowe pojęcie, wróć.

Gdyby nie motto, moglibyśmy umieścić świat przedstawiony gdziekolwiek na mapie współczesnych wojen: to może być Afganistan czy Irak, Kurdystan lub Syria, Palestyna, może Liban. A dlaczego nie Bałkany lat 1990.? Krym roku 2014 po bandyckiej aneksji przez Rosję? Okolice „autonomicznego” Łużańska na Ukrainie? Albo inaczej – dzięki przyzwoleniu, jakie zawiera motto, tak właśnie trzeba robić: wolno nam przenosić bohaterów w czasie i przestrzeni, bo przecież nie o konkretny czas i nie o wybraną przestrzeń tu chodzi. Czyżby taki był zamysł autora? Zachęca: szukaj Innego, gdzie tylko chcesz. W zasięgu ręki. Tuż obok. Tam go znajdziesz.

Póki co, jesteśmy „gdzieś w Afganistanie”. Nieznana kobieta pochyla się nad nieznanym mężczyzną. Co robi? Byłoby ciekawie dowiedzieć się czegoś więcej: o barwach kraju za oknami czy o tym, jak pachnie przygotowywany przez nią posiłek. Może jakiś rys historyczny? Widok z okna na ciekawe budowle? Wypisana z bedekera anegdota? Szczegół regionalnego ubrania bohaterki? Wystudiowana oszczędność opisu trochę drażni, boć przecież sensem tekstu, który ma człowiekowi Zachodu przybliżyć egzotyczną obcość, powinny być bogate didaskalia. A oto one: kobieta

w (...) dłoni trzyma długi czarny różaniec. Przesuwa koraliki. W milczeniu. Powoli. W rytmie ruchów swych ramion. Albo raczej w rytmie oddechu mężczyzny. Jej ciało okrywa długa sukienka. Purpurowa. Przy mankietach i u dołu ozdobiona dyskretnymi motywami kłosów i kwiatków pszenicy. Na wyciągnięcie ręki ma książkę, otwartą na wyklejce i ułożoną na aksamitnej poduszce. Koran.

Anonimowa kobieta po prostu... się modli. Każdą czynność wykonuje, „nie wypuszczając z ręki różańca. Nie przestając przesuwac koralików”. To nie jest pacierz, na który można poświęcić co najwyżej kilka minut rano i wieczorem. Modlitwa Afganki jest naturalna niczym oddech i nieprzerwana jak oddychanie. Towarzyszy każdej czynności: kobieta nie może zatrzymać się ani przez chwilę, bo wtedy,

być może, ustałoby także życie – jej i jej męża. Gest przesuwania paciorków różańca utrzymuje resztki porządku w domu, a determinacja w powtarzaniu świętych słów ma być silniejsza od tego, co dzieje się wokół, za oknami:

W oddali, gdzieś w mieście, wybucha bomba. Gwałtowna eksplozja niszczy być może kilka domów, parę marzeń. I zaraz odpowiedź. Wybuchy rozdierają ciężką ciszę południa, przyprawiają o drżenie szyby, ale nie budzą dzieci. Unieruchamiają na chwilę – na tyle, ile trwa przesunięcie dwóch koralików – ramiona kobiety. Wkłada do kieszeni buteleczkę z lekarstwem. „Al-Kahbar” – szepce. – „Al-Kahbar” – powtarza przy każdym oddechu mężczyzny. I przy każdym słowie przesuwa między palcami jeden koralik.

Wiadomo, że czas wojny liczy się jakoś inaczej. Czas Innych (Obcych?) – tym bardziej. A czas modlitwy? Fascynuje mnie sposób, w jaki modli się ta „inna” kobieta. Zastanawiam się, od kiedy w obrębie naszej cywilizacji przestaliśmy liczyć czas, jak nasi dziadkowie, pradziadkowie? Z codziennego języka polskiego wyparowała na przykład piękna fraza: kiedyś mówiło się, że ktoś przyjdzie za „dwa-trzy pacierze”. Taki archaizm można znaleźć tylko w literaturze, i to odległej już o dziesięciolecia. Nasz codzienny czas jest boleśnie świecki. Wpatrzeni w elektroniczne zegary, nie słyszymy, że w południe dzwony świątyni nawet w wielkich miastach nadal biją „na Anioł Pański”. Czy pamiętamy przepiękną frazę Godzinek, którą w swojej poezji tak wielbił ksiądz Twardowski? Czy to już tylko folklor?

Afgańska kobieta liczy czas nie wybuchami za oknem (kto by tam zwracał uwagę na bomby, nawet dzieci się nie budzą, nie płaczą...). Ona oddycha w rytm modlitwy, odliczany na przesuwanych paciorkach, a ten rytm współbrzmi z oddechem nieprzytomnego mężczyzny. Mijają godziny i dni. Kolejny dzień to dla niej po prostu kolejne imię Boga, zapisane w Księdze. Modlitwa jest naturalna, zwyczajna, ale w którymś momencie nie przynosi ukojenia i już nie wystarcza: „Od rana do wieczora recytuję bez przerwy imiona Boga, już nie mogę!”

Pomiędzy święte słowa i gesty rytuału wciska się zniecierpliwienie i oczywiste zmęczenie. Setki, tysiące oddechów to tyleż zakłęk – próśb, aby Wszechmocny przebudził śpiącego. Kobieta modli się ku niebu, a kiedy to nie przynosi zmian, coraz częściej pochyła się nad chorym i do niego kieruje swoje błaganie: aby dał znak, że ją słyszy. Niech na chwilę wstrzyma oddech. Niech wreszcie coś się TU wydarzy.

Mijają tygodnie jej czuwania, dlatego kobieta dobrze wie, ile modlitw–oddechów ma każda chwila. Tak rozpoznaje rytm swojego dnia, ale także czas otaczającego ją miasta: wie, przy którym oddechu–modlitwie pojawia się roznosiciel wody, a ile trzeba obrócić pętli różańca do momentu, kiedy pod oknami przejedzie chłopiec na rowerze. Gdy idzie do apteki, liczy, że minął czas „potrzebny na odmówienie trzech różańców i zrobienie dwustu dziewięćdziesięciu dwóch oddechów”. Modlitwa jest jedyną miarą czasu: „Nie dzielę już dni na godziny, a godzin na minuty, a minut na sekundy... Mój dzień to dziewięćdziesiąt dziewięć pełnych pętli różańca”. Nawet porcje leku spadają z worka kroplówki w rytmie paciorków...

W tak przeżywany czas wdziera się odgłos eksplozji, tak samo naturalny, jak pytania właśnie zbudzonych dzieci. Według rytmu modlitwy pojawiają się też ludzie z zewnątrz:

A gdy dotrę do siedemdziesiątej drugiej pętli, odwiedzi cię kretyn muła i jak zwykle będzie miał do mnie pretensje, że – jak stwierdzi – nie zajmowałam się tobą, jak trzeba, nie przestrzegałam zaleceń, opuszczałam modlitwy... Gdyby nie to, to byś wyzdrowiał!

Wybuchy bomb. Odgłosy dalekich tragedii ludzi nieznanego miasta. Wsłuchując się w monolog afgańskiej kobiety, słyszymy coś jeszcze: gniew. Rytm różańca to nie wszystko. Posłuszna wyuczonemu nakazowi, kobieta odpowiada przecież na wołania na modlitwę, które docierają z pobliskiego meczetu. Kiedy kończy się rutynowy tekst, odmawiany w świątyni, kobieta czeka: może spodziewa się, że panujący nad świętym przekazem muła doda jakieś słowa otuchy? Tej otuchy bardzo potrzeba miastu, udręczonemu wojną, ale przede wszystkim potrzebuje jej kobieta, która czuwa samotnie. I rzeczywiście, zanim

wierny podniesie się z modlitewnego dywanika, ma usłyszeć hadis, czyli mądrościowe przesłanie na dany dzień. Jednak nie daje ono spodziewanej radości ani nadziei: w świętej księdze zapisano, że dzień dzisiejszy, wtorek, to

dzień rozlewu krwi, bo właśnie we wtorek Ewa po raz pierwszy utraciła nieczystą krew, we wtorek jeden z synów Adama zabił swojego brata, we wtorek zabito Grzegorza, Zachariasza i Jahję – pokój z nimi – a także czarowników Faraona, i jałówkę dzieci Izraela...

Atiq Rahimi nie komentuje hadisu, tymczasem wydaje się, że te święte słowa zawisły teraz nad nami, czytelnikami. Musimy im sprostać. Rozpoznajemy imiona patriarchów – to przecież nasze wspólne, biblijne dziedzictwo. A jednak uderza jakaś inność (obcość?): czy zasada się ona na poczuciu, że oto przemówił odległy w czasie, starotestamentalny człowiek, dla którego Jahwe był Bogiem zemsty? Czy nie jest tak, że Stary Testament, ten gigantyczny epos o drodze człowieka do Boga i zarazem o wielokrotnym odwracaniu się od Stwórcy, tekst wpisany w chrześcijańska liturgię, znamy i akceptujemy o tyle, o ile jest złagodzony językiem Ewangelii jako językiem Bożej miłości i miłosierdzia? Gdzie wśród wizerunków biblijnego Stwórcy jest miejsce dla Boga islamu? Jak wyobrażamy sobie Jego mużułmańskiego wyznawcę – poza publicystycznym wizerunkiem fundamentalisty, grożącego zachodniemu światu terrorem?

Bohaterka *Kamienia cierpliwości* nie zadaje takich pytań. Kiedy cichnie głos muły, zwija modlitewny dywanik, rozgląda się po pustce pokoju, „w jej spojrzeniu pojawia się lęk”. I tyle. W ciszę domu wraca rytm oddechu mężczyzny i szmer modlitwy kobiety. Rutyna czynności pielęgnacyjnych przy chorym, krzątania przy dzieciach, zdobywanie jedzenia dla nich i lekarstw dla niego – i nade wszystko powtarzalność świętych słów.

Którędy przebiega granica między tym, co oswojone, a tym, co inne? Wydaje się, że Atiq Rahimi co chwila stawia to pytanie, powoli rozwijając dramaturgię swojej opowieści. Z monologu bohaterki wyłania się zarys jej losów: pochodzi z rodziny pielęgnującej tradycję, zgodnie z którą

zawarła małżeństwo z woli innych. Odbył się ślub *per procura* z nieznanym mężczyzną, który jeszcze trzy lata gdzieś walczył o jakąś wielką „sprawę”, zanim zjawił się w domu i poznał żonę. Potem było małżeństwo, które mimo upływu lat nie zbliżyło ich, także dlatego, że większość czasu mąż spędzał na wojnie. Rodziły się dzieci. Otoczona rodziną męża, skazana na jeszcze jeden wymiar odmienności wśród swoich, żyła samotnie. Jedyna bliska kobiecie osoba to ciotka – z własnego wyboru poza nawiasem rodziny, kobieta inna, po swojemu wolna. Kiedyś, aby się wyzwolić, upozorowała własną śmierć... Teraz jest wyrzutkiem. Ale sama stanowi o sobie – a to w tym świecie bardzo, bardzo dużo.

W monolog coraz silniej wdzierają się gniew, a wraz z nim przesuwa się granica tego, co inne. Wystarczy kilka zdań i zmienia się mapa, po której się poruszamy: okazuje się, że domniemany bohater, umierający w pustym pokoju, wcale nie jest ofiarą wojny, tylko został postrzelony podczas pijackiej burdy. Inni bojownicy „świętej sprawy” – jakiej? kobieta nie wie albo nie ma to dla niej żadnego znaczenia – też nie są od niego lepsi, bo opuszczając miasto, zostawili dotychczasowego kompana, nie dbając ani o jego los, ani o jego najbliższych. Ze wstydem porzuciła go własna rodzina, tak wcześniej dumna z żołnierza. Rozsypały się w proch słowa o honorze. O bohaterstwie.

Znowu wraca rytm oddechu i rytm modlitwy. Kobieta boi się, że wybuch gniewu to pierwszy krok ku jej obłąkaniu, i dlatego wraca do tego, co zna najlepiej: paciorki różańca, lektura Koranu. To dzieje się „gdzieś w Afganistanie albo w innym miejscu”, a ja czuję, jak bliska staje się dla mnie ta egzotyczna osoba: podziwiam naturalność jej pacierza, skupienie nad świętym tekstem i sposób, w jaki traktuje Księgę. Zamykając Koran, zaznacza czytany fragment pawim piórem. Gdzieś w tekście odnajdę wyjaśnienie, co oznacza dla kobiety ten rekwizyt, ale póki co wystarczy mi, że poczucie inności – tak początkowo naturalne i tak oczywiste – słabnie, aż wreszcie znika. To samo może się wydarzać za ścianą: gdzieś niedaleko każdego z nas jakiś Inny cierpi fizyczny ból czy opuszczenie, przeżywa samotność i doświadcza bezradności. Taka jest (ozdrowieńcza?) płaszczyzna Spotkania – to wspólnota przeżyć Ja i Ty, bliskość doświadczenia i powtarzalność naszych losów. Inność nie kryje się ani w języku, w jakim modli się kobieta,

ani w egzotycznym alfabecie, jakim zapisana jest jej święta Księga. Inność to rodzaj naszego wyboru, kiedy odwracamy się od Drugiego.

Osamotniona, porzucona kobieta sama widzi wyraźnie granicę między swoim i Innym – który staje się Obcym – „oni” to niedawni towarzysze broni jej męża, o których pyta go: „Gdzie się podziiali twoi bracia, tacy z ciebie dumni, gdy walczyłeś przeciwko ich wrogom?” Dla niej Inny nie jest daleki wróg, bo tak naprawdę ona nie wie, kim jest ten wróg. Widziani z domu, spomiędzy codziennej krzątania przy posiłkach i przy dzieciach, Inni (Obcy?) są mężowie i ojcowie, co walczą z jakąś abstrakcją, gdzieś, z czymś niewidzialnym i nie do końca zrozumiałym. Słowa o sprawie i o honorze nic nie znaczą, bo z perspektywy bohaterki tak naprawdę wymierzone są nie we wroga, ale w najbliższych. Cenę cierpienia opuszczonych zapłaci kobieta i płacą jej dzieci; dlatego, pochylając się nad nieświadomym, pyta w gniewie: „Chociaż przez chwilę pomyślałeś o nas, gdy zarzucałeś na ramię tego kurewskiego kałasznikowa? Ty...”

Scenerią książki Rahimiego jest zapewne Kabul, rodzinne miasto autora, skąd uciekał w 1986 roku. Ale to równie prawdopodobnie mógłby być Bejrut albo dzisiejszy Damaszek, Aleppo czy Bagdad. Ale także Belfast z czasów nie tak odległych bratobójczych walk między wyznawcami Boga – Tego samego, tyle że opisanego przez inne wyznania i czczonego w innej liturgii. Albo jakieś inne miasto innego kraju, gdzie swój paskudny łeb podnosi hydra nacjonalizmu czy potwór demagogii zaraża ludzi jadem. To może być każdy kraj, gdzie z miejskich placów albo wież świątyń rozlega się nawoływanie o walkę z Innym. Idea świętej wojny to nie tylko obcy cywilizacji Zachodu džihad. Jakże niedawno przez europejskie stolicy maszerowała armia, co na swoich kłamrach dumnie nosiła słowa „Gott mit uns”. A nowotestamentalne wezwanie do solidarnej pomocy i wspólnej pracy „Kto nie pracuje, niech nie je”, zostało przez stalinowski komunizm użyte jako cyniczne usprawiedliwienie niewyobrażalnego terroru i głodu, który zabił miliony. Przykłady podobnego wynaturzonego użycia religii wypełniłyby biblioteki...

Kim jest Inny? Tu staje się nim muła: gdy przychodzi w odwiedziny, ma dla kobiety tylko słowa nagany, bo przecież jeśli chory mąż nie odzyskuje świadomości, to z pewnością winna jest jej niestaranna

modlitwa. Ten sam mułła zaprzestaje wizyt, kiedy walki docierają coraz bliżej. Kobieta przyjmuje to z wyraźną ulgą, a z pogardą komentuje poczynania mułły: „Boi się zbląkanych kul. Jest równie tchórzliwy jak twoi bracia”.

Czuwając przy umierającym, kobieta modli się, aby odzyskał świadomość, ale jednocześnie boi się tego przebudzenia: oto gdzieś w pobliżu, pewnie z meczetu odzywa się głos mułły, co wzywa na modlitwę. Kiedyś mułła był życzliwy ludziom, potrafił z nimi rozmawiać, nawet żartował. Odkąd jednak obowiązuje nowe prawo, nawet mułła się boi. Pewnie dlatego, z tego strachu, także wygłaszane przez niego święte słowa są inne. Nastąpiła środa, więc potrzebny jest nowy hadis na nowy dzień. Zgodnie z zapisem przesłania Proroka w środę „nie należy praktykować rozlewu krwi, ani dawać, ani przyjmować”. Jednak dosłowne traktowanie świętej Księgi nie zawsze jest cnotą, a mułła wie, że nie tego oczekują otaczający go wierni. Każdej ortodoksji towarzyszyć może jakieś „ale” – dodają je ludzie niezdolni do wypełnienia woli Boga i chętni do własnej interpretacji Jego słów. I tak czyni mułła, cytując maksymę „odwołującą” słowa Proroka, bo przecież trwa dżihad, a podczas świętej wojny ludziom potrzebne jest inne prawo: „Dziś wasz brat, czcigodny Wódz, daje wam broń, abyście mogli bronić swego honoru, swej krwi, swego plemienia!” Odpowiedzią są krzyki zgromadzonych, którzy w uniesieniu skandują imię Boga. Tego im było trzeba, bo ważna jest aktualna wykładnia świętego przekazu: trzeba wskazać Innego i skierować przeciwko niemu mocne słowa. Te słowa zagrzeją do walki i może nawet sprawią, że ocknie się umierający wojownik.

Właśnie takiego „przebudzenia” najbardziej obawia się czuwająca. Słyszając zawołanie, mąż wstanie. Znowu sięgnie po broń. Znowu odejdzie, niepomny na los osamotnionej, pozbawionej obrony rodziny. Przebudzi się w nim Inny, co tyle lat żył obok niej. Tak już przecież było: „Walczyłeś w imię wolności, w imię Allacha! To wszystko usprawiedliwiało”.

*

Miasto ożywa. Coraz bliższe są strzały. Krzyki. Łuny i dym. Jako czytelnicy tkwimy wraz z bohaterami w pudełkowej przestrzeni

pokoju i nie widzimy scen dramatu rozgrywającego się „poza”: coś się pali, po eksplozjach coś dymi, z chwili na chwilę pobliski ogród staje się martwy. „Gdy eksplozje ustają – może skończyła się amunicja – czołg odjeżdża. Gęsta, zadymiona cisza wraca i ogarnia wszystko na długi czas”. Świat zewnętrzny jest niewidoczny i odbieramy go jakby z drugiej ręki, stąd wydaje się mało realny. Składa się tylko z odgłosów: czasem są one mocne, groźne – gdy słychać strzały, wybuchy, stukot butów „tych, co mają broń”: „Wszyscy się kryją. Milkną. I czekają”. Czasem głosy są tuż-tuż – niespodziewanie rozlega się śpiew sąsiadki lub jej kaszel; ten kaszel brzmi w uszach kobiety niczym salwa, jest znany, oswojony, może przez to bardziej rzeczywisty? „Stara kobieta kaszle i ciągle jeszcze nuci. Nie jest ani daleko, ani blisko. Może być tylko pośród szczątków muru”.

Czasem jedynym dźwiękiem jest szelest owadzich skrzydeł, czasem jedynym znakiem życia jest ruch pająka na ścianie.

Wróćmy do przyzwyczajęń i oczekiwań czytelnika z Zachodu. Jeśli sceną zdarzeń jest wojna, to można by się spodziewać, że autor stanie po którejś ze stron i jasno pokaże nam, że tutaj są jacyś Swoi, a tam – Inni (Obcy?). My i Oni. Tymczasem – powtórzmy – Atiq Rahimi zupełnie inaczej rysuje granice swojości/inności. Nie wiadomo – czy to ważne? – kto atakuje miasto i kto stoi po której stronie. Najdobitniej ilustruje to epizod, kiedy w domu zjawiają się jacyś żołnierze. Czy wraz z nimi przez miasto przesuwają się pierwsza linia jakiegoś frontu, czy może to są maruderzy, co wietrzą łup na opuszczonych tyłach? Przybysze przetrząsają dom, bezceremonialnie tarmoszą nieprzytomnego, ściągają z jego ręki obrączkę i zegarek, szukają kobiet. Nie wiadomo, na co jeszcze są gotowi, ale nagle powstrzymuje ich widok Koranu, co dowodzi, że ograbiany, chory człowiek jest „dobrym muzułmaninem”. To studzi zapał żołdaków, zatrzymują się, choć czują się zawiedzeni i nienasyceń, widać, że nie tego oczekiwali: „Po coś chyba zbombardowaliśmy tę dzielnicę, nie?!” Odchodzą, kradnąc także Koran.

Tego się spodziewaliśmy: nawet jeśli nie wiemy, kim są Inni, to już wiadomo, którędy przebiega granica swojości i inności. „Nasi” bohaterowie są tu, w pokoju, a tam, za oknem, za zasłoną, za murem

okalającym ogród schronili się „oni” – wrogowie. Wojna jest coraz bliżej i możemy się spodziewać, że takich „wizyt” będzie więcej.

Słońce zachodzi.
Broń się budzi.
Tej nocy znów rujnują.
Tej nocy znów zabijają.
Ranek.
Pada.
Deszcz pada na miasto i ruiny.
Deszcz pada na ciała i rany.

Czy rzeczywiście osiągnęliśmy właściwą granicę pomiędzy tym, co swoje, a tym, co inne? Między Ja a Innym?

Atiq Rahimi widzi to inaczej. Dzieją się straszne rzeczy, a dla autora najstraszniejszy – i o wiele ważniejszy – jest monolog kobiety. Ona mówi już nie tylko dlatego, że spodziewa się przebudzić chorego. Jej nadzieja ma odmienne źródło: oto kiedyś umierający teść opowiedział jej o kamieniu cierpliwości – *syngué sabour*. To w mitologii islamu święty, rzec by można, magiczny przedmiot, który cierpliwie przyjmuje wszelki ludzki ból i nieszczęścia. Taki kamień słuca zwierzeń, aż wreszcie, nasycony bólem, wybucha i w taki sposób uwalnia (zbawia?) człowieka od złego. Oczywiście, ta przypowieść jest zakorzeniona w *sacrum*: bo najświętszym kamieniem cierpliwości jest czarny gład w Kaabie. Można sięgnąć jeszcze dawniej:

W raju na tym kamieniu siedział Adam... ale gdy Bóg wygnał Adama i Ewę na ziemię, kazał znieść także ten kamień, aby dzieci Adama mogły zwierzać mu się ze swej rozpacz i cierpienia... I ten właśnie kamień archanioł Gabriel ofiarował Hagar i jej synowi Izmaelowi jako poduszkę, gdy Abraham wygnał swą służącą z dzieckiem na pustynię... tak, to jest kamień dla wszystkich nieszczęśników na ziemi.

Wojna podeszła pod dom, tej nocy zginęli sąsiedzi, a ci, co ocalili, właśnie urządają im pogrzeb – w ich własnym ogrodzie. Słyszać, jak

muła odmawia modlitwę za zmarłych. Przełała się czara cierpienia. Udręczona kobieta mówi, wierząc, że jej kamieniem cierpliwości jest pogrążony w nieświadomości mąż. Tylko jemu może powierzyć sekrety, o których nie wiedział dotąd nikt. Kobieta mówi o swojej rodzinie i rodzinie męża, wraca myślami do młodości, opowiada o przemocy na co dzień, o latach małżeństwa, o doświadczanych przez nią okrucieństwach samotności i upokorzeniach.

To trudna opowieść o prawdziwych wymiarach inności, kiedy w perspektywie judeochrześcijańskiej Europy spoglądamy na świat islamu. Tego się spodziewałam po opisie świata, gdzie inna jest obyczajowość i inne powinności rodzinne, nie do końca znane i zrozumiałe dla mnie role, jakie odgrywają ona i on. Jednak wiem, że Czytelnik (Europejczyk? człowiek Zachodu? każdy?) powinien być uważny, aby pochopnie nie ferować wyroków. W dodatku bohaterka, która wygłasza dramatyczną spowiedź przed ludzkim kamieniem cierpliwości, nie zawsze ułatwia nam zrozumienie. Tam, gdzie chcielibyśmy widzieć ją jako ofiarę przemocy, ona mówi: „jestem potworem”. Tam, gdzie razi odmienność obyczajowości, gdy nie rozumiemy podejmowanych decyzji i sensu dokonywanych przez nią wyborów, ona mówi: „opętał mnie demon”. Prześladowana – czuje się winna. Upokarzana przez najbliższych – sama temu upokorzeniu ulega. Czytelnik – jeśli przychodzi spoza tego kręgu kulturowego czy religijnego – może się w takich ocenach pogubić.

Spowiedź przed kamieniem cierpliwości jest trudna do uniesienia. Padają straszne wspomnienia z przeszłości kobiety, a tuż obok, w mieście i w samym pokoju dzieją się straszne rzeczy. Powtarzam: na początku lektury wydaje się, że nie ma nic straszniejszego niż wojna, z jej opisami cierpienia i gwałtu – a tymczasem afgański pisarz traktuje wojenne realia tylko jako rodzaj dekoracji, na tle której pokazuje osadzone w scenie pokoju dramaty jeszcze trudniejsze do obejrzenia i przeżycia. Kobiętę prześladowają obrazy z rodzinnego domu, gdzie wszyscy cierpieli brutalność ojca, który w świecie na zewnątrz uchodził za delikatnego hodowcę przepiórek. Potem były nieustanne upokorzenia w domu męża, pod okiem teściowej. Potem... Kobieta mówi przez zaciśnięte gardło, bo nie nauczono jej, jak przełamywać intymność,

skrywaną dotąd przed wszystkimi, co powinni być najbliżsi. Takie samo ściśnięte gardło ma narrator (autor?), z wyraźnym trudem notujący tę osobliwą spowiedź. Jak powinien zareagować czytelnik? Jaka rolę przewidział dla nas autor?

Atiq Rahimi–pisarz nie dostarcza portretu kobiety, jakby wierny muzułmańskiemu zakazowi tworzenia wizerunków istot żywych. Możemy sobie tylko wyobrazić bohaterkę, która w zaciszu domu, przy mężu, jest całkowicie odsłonięta – ale my, paradoksalnie, nadal nie widzimy jej twarzy. I znowu, nie jest ważny ubiór czy rysy twarzy – tutaj porażające jest obnażenie cierpienia, ogrom bólu, który kobiecie przyszło i przychodzi znosić. Szokujące są jej wyznania, kiedy opada zasłona wstydu i bohaterka decyduje się powiedzieć wszystko swojemu *syngué sabour*.

Jeśli gdzieś pojawia się moment ulgi, to dzieje się tak, kiedy kobieta sięga do źródeł tożsamości i usiłuje z zapamiętanych przypowieści koranicznych, z niegdysiejszych nauk babki czy z opowiadań teścia odbudować coś swojego i znaleźć w tym ukojenie. Przypomina sobie taką triadę: nauczono ją, że w życiu najważniejsze są „miłość własna, ojcowskie prawo, matczyzna moralność” – a tylko ten, kto się ich wyrzeknie, uchroni się od nieszczęścia. Skąd to wie i jak rozumieć tę paradoksalną, pozornie wewnętrznie sprzeczną naukę?

Tu potrzebna jest mądrościowa opowieść. Byli sobie król i królowa. Królowi przepowiedziano, że jego córka sprowadzi na cały ród hańbę, dlatego kiedy w królewskiej rodzinie pojawiały się córki (a tylko dziewczynki się rodziły), były natychmiast mordowane na polecenie monarchy. Kiedy kat miał zgładzić trzecie niemowlę, usłyszał głos dziecka: jeśli daruje dziewczynce życie i ucieknie z królową, sam zostanie władcą odległego królestwa, szczęśliwym mężem wdzięcznej matki i przybranym ojcem pięknej córki. I tak się stało. Zdradzony i opuszczony król latami podbijał kolejne państwa, szukając uciekinierów–zdrajców. Wreszcie na jego drodze pojawił się maleńki, acz waleczny kraj, rządzony przez nieustraszoną królową, która nie chciała żadnych pertraktacji, a że była dobra i sprawiedliwa, poddani woleliby raczej zginąć w obronie władczyni i jej córki, niż się poddać najeźdźcy. Nie wiadomo, ile krwi by się polało, gdyby nie królowa, która uciekła

nocą do obozu uzurpatora. Ciąg dalszy, jak to w przypowieści: król nie rozpoznaje w pięknej dziewczynie własnej córki, ona zaś nie wie ani o swoim pochodzeniu, ani o przepowiedni. Sekret spełnionej tej nocy kazirodczej miłości poznaje królowa, gdy królowna wraca na zamek, przekonana, że uratowała kraj od zagłady. Nad dalekim krajem zawisa spełnione fatum.

Nie wiadomo, co stało się ze członkami królewskiego rodu, bo ta historia nie ma zakończenia. Bohaterka, słuchając opowieści swojej babki, bezskutecznie dopytuje się, czy jest możliwe jakieś szczęśliwe rozwikłanie tak splątanych losów. Babka zaś sięga do morałów baśniowych: zakończenie przepadło gdzieś w czasie, a kto je odnajdzie, „będzie mieć życie wolne od wszelkiego nieszczęścia”. Jednak – to ważny warunek – rozwiązanie jest tajemnicą, a gdy się je pozna, trzeba zachować je dla siebie. Ktoś inny, któremu z kolei nasza bohaterka „zadła” baśniową zagadkę, odpowie: możliwe jest szczęśliwe zakończenie, ale „pod warunkiem, że zostanie złożona ofiara i wyrzekniemy się trzech rzeczy: miłości własnej [to kazirodcza miłość córki do ojca], ojcowskiego prawa [aby się zemścić na zdrajcach] i matczynej moralności [by za wszelką cenę ochronić córkę]”. Czy to możliwe? „Trzeba próbować”, pada lakoniczna odpowiedź.

Niezwykła spowiedź kobiety, pochylonej nad ludzkim kamieniem cierpliwości, to właśnie taka ofiara. Kto inny mógłby przyjąć jej wyznania? Mądry hakim, który już kiedyś jej pomógł? Mułła, który z pobliskiego meczetu wzywa na modlitwę, przekazuje hadis na każdy dzień, a gdy trzeba – modli się nad świeżymi grobami ofiar wojny? Pograżona w strasznych wspomnieniach kobieta boi się, że traci rozum, że opętał ją demon:

Nie poszłam zwierzać się mądrymu hakimowi ani mulle. Ciotka mi zabroniła. Twierdzi, że nie jestem ani szalona, ani opętana. Że nie mieszka we mnie żaden demon. Że wszystko, co mówię i co robię, dyktuje mi głos z góry, to on mnie prowadzi. Ten głos, który wydobywa się z mojego gardła, był przez tysiące lat uwięziony.

Dzięki tym słowom bohaterka decyduje się mówić dalej...

*

Opowiadam historię ludzkiego kamienia cierpliwości, ale nie mam zamiaru streścić jej do końca. Kto ma dość siły, aby wysłuchać spowiedzi afgańskiej kobiety, niech to zrobi. „Kamień cierpliwości” – *syngué sabour* – przyjął tragiczne wyznania. Idąc ich śladem, Atiq Rahimi nie cofnął się przed strasznym zakończeniem: zarówno monologu bohaterki, jak i całej historii. Opowieści arabskich nocy nie zawsze muszą kończyć się szczęśliwie, niczym w baśniach Szeherazady, która dzięki swemu kunsztowi bajarki ocaliła życie i pokonała króla, a właściwie uleczyła jego lęki wobec Innego, bo to właśnie lęk wcześniej pchał władcę do zbrodni.

W tradycyjnym dramacie w ostatnim akcie powinna wypalić strzelba, która od pierwszej sceny wisi na ścianie mieszczkańskiego saloniku. Cierpliwy czytelnik *Kamienia cierpliwości* dowie się, dlaczego na ścianie pokoju usytuowanego „gdzieś w Afganistanie albo w innym miejscu” był powieszony *handżar*.

Czy ludzki kamień, obciążony grzechami, wybuchł? Czy dokonało się oczyszczenie z nieszczęść i wyzwolenie z cierpienia? Czy udało się – powiedzmy to inaczej – Zmartwychwstanie?

Na koniec zapada cisza. A my zostajemy w niej i trwamy w poczuciu, że oswojenie inności i spotkanie z Innym to najtrudniejsza rzecz na świecie.

POSTSCRIPTUM

Kamień cierpliwości (tytuł oryginału francuskiego: *Syngué sabour. Pierre de patience*, polskie tłumaczenie: Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009) zdobył Nagrodę Goncourtów w roku 2008. W Europie inaczej wtedy jeszcze myśleliśmy o islamie, inaczej niż dziś decydowaliśmy o uchodźcach, inaczej widzieliśmy siebie wobec tych Innych, przybywających z Azji czy Afryki i – jak niegdyś, w latach 1980. sam autor – starających się o europejski azyl.

Sam Atiq Rahimi, człowiek wielu talentów i twórca używający wielu mediów, kilka lat po wydaniu książki, już w innej rzeczywistości politycznej „przetłumaczył” własne słowa na obrazy. Tak powstał film, który od roku 2012 przeszedł długą drogę festiwalu i nagród, a na co dzień pędzi cichy żywot chociażby wśród internetowego zgiełku i można go tam z łatwością odnaleźć i obejrzeć. Z kadrów patrzy nam w oczy niezwykle piękna kobieta, w filmie nie tylko przez okno widać Kabul ogarnięty walkami, razem z kamerą wychodzimy na ulice lub patrzymy na miasto z lotu ptaka.

Obraz jest zawsze jakąś kapitulacją wobec słowa, ale jeśli ma siłę docierania dalej – niechaj rusza w drogę. A my – czytelnicy, widzowie – dzięki obrazom i słowom trafimy do świata, gdzie ludzie

Przez pewien czas strzelają.
Przez pewien czas się modlą.
Przez pewien czas siedzą cicho.

IZABELLA SARIUSZ-SKĄPSKA, dr, absolwentka filologii polskiej UJ, redaktorka książek naukowych. Wykładowca na Wydziale Filozofii UPJPII. Autorka syntezy *Polscy świadkowie GUŁagu. Literatura łagrowa 1939–1989*. Publikowała m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „W drodze”, „Kresach”, „Przeglądzie Politycznym”, „Znaku”. Prezes zarządu Federacji Rodzin Katyńskich, współtworzyła nową ekspozycję Muzeum Katyńskiego.

